



Na zdjęciu: Jerzy Kownas (od lewej), Aleksandra Bonarska i Edward Apa w jednej ze scen „Klik-klak”.
Foto: S. Cieślak

Tak lubo wspomnieć

Klik-klak... Kiedy to było? Jakies dobre siedem, osiem lat temu. Było coś takiego, szalenie popularne, zwłaszcza wśród młodych chłopców, prawdziwy szal, ale jak każda tego rodzaju moda – bardzo krótkotrwałe i szybko zapomniane. Sztuka Jarosława Abramowa pod tym tytułem jest nieco młodsza od modnej przed laty zabawki i jeżeli jest w niej coś przypadkowego, nie liczącego się, to właśnie ów tytuł i te dwie kulki na sznurku w rękach najmłodszego z postaci komedii – Lilka, albo, jak kto woli, Lyka. No, w najlepszym wypadku można by się dopatrywać w tej zabawce jakiegoś odniesienia do struktury dialogu jakim posłużył się Abramow: mnóstwa szybkich błyskotliwych powiedzonek, znajdujących równie szybko i błyskotliwie riposty. Można by, gdyby nie tempo przedstawienia w reżyserii Krystyny Tyszkowskiej na scenie Teatru Polskiego.

Abramow miał doskonały pomysł. Bo czyż nie jest świetnym pomysłem na komedię kobietą, w której temperament łączy się z ambicjami błyszczenia, zdobywania mężczyzn, a w ogóle – dostosowania się poprzez nich do różnych okoliczności i sytuacji? A jeżeli będą te okoliczności dla nas już historyczne, ale przecież niezbyt odległe, w sam raz na tyle, aby uprawdopodobniały resztki pretensji dawnej piękności i pozwalały osadzić jej partnerów we współczesnych realiach, jeszcze w naszych czasach? Oczywiście na statusie staruszków-emerytów, usprawiedliwiającym wszelki sentyment bohaterów do minionej przeszłości, do dawnych „dobrych czasów”, nawet, jeżeli całkiem dosłownie chodzi o czasy sanacyjne (o okres tak zwanych błędów i wypaczeń też) i to nie całkiem poślednie figury z nadbudowy politycznej w tych okresach.

Sytuacja wyjściowa sprowadza się do tego, że pani z resztkami pretensji i temperamentu – Kornelia – zaprasza do siebie trzech swoich byłych mężów – Grzegorza, niegdyś pułkownika w Wołkowysku, Teodora – przedwojennego dyplomata, Sylwestra – powojennego działacza i dygnitarza z „awansu społecznego”.

Takie spotkanie może być okazją do zaskakujących, zabawnych apież, pod warunkiem, że nikt nie zostanie potraktowany zbyt serio, a konieczny, jak najlepszej jakości śmiech zostanie uzupełniony odpowiednią dawką sentymentu dla bohaterów. Inaczej mówiąc nie powinna to być całkiem komedia, ale i nie satyra. Coś między komedią, a farsą.

Abramow sprostał tym wymaganiom. Napisał bardzo zgrabną rzecz, która słuszy się dawać w słownych pojedynkach, jakie prowadzą ze sobą byli mężowie Kornelii, starający się przenieść swoje epoki, mekskie urazy na grunt różnic poglądów politycznych. Widać zresztą, że w tym zadaniu dobrze pomogła Abramowowi szkoła, jaką przeszedł przed laty, będąc

autorem studenckich teatrów satyrycznych.

Tak więc eksmałżonkowie Kornelii nie szczedzą sobie wzajemnie docinków i złośliwości, jako że każdy reprezentuje inny obóz, ale nie byłoby tylko z tego powodu śmiesznymi staruszkami, gdyby nie fakt, że łączy ich autentyczny sentyment do swojej młodości, do jej możliwości, ale do jej grzechów i słabości też, a może nawet przede wszystkim. Wszystko to uosabia właśnie ta jedna kobieta – Kornelia.

Cały ten spektakl zresztą przypomina mi trochę starą anegdotkę o staruszce, która chodząc często do spowiedzi, za każdym razem wyznawała księdzu jeden grzech: „Jaś mnie pocałował”. Wreszcie pewnego razu znudzony ksiądz zapytał: kiedy to się stało? Okazało się, że babcia popełniła ten „grzech” w czasach młodości, a na kolejne pytanie dlaczego ciągle się z tego spowiada, wyjaśniła po prostu: „Tak lubo wspomnieć...”

Felieton teatralny

Wracając do „Klik-klak”, obawiam się, że przy całym uznaniu do autora sztuki, to, co jest w niej najcenniejsze a więc cała warstwa słowno-dowcipna, rojąca się przecieć powiedzonkami i aluzjami, mającymi swoje odniesienia do konkretnych realiów naszej współczesnej historii, może trafiać w pełni tylko do części publiczności. Do tej, dla której te sprawy są świeższe, bliżej znane. Po drugie przyznam się, że z większym zainteresowaniem czytałem tekst „Klik-klak”, niż oglądałem jego przedstawienie. Być może dlatego, że w czasie lektury łatwiej wylapać wszystkie „cienkości” gry słów, a być może dlatego, że przedstawienie Krystyny Tyszkowskiej, szczególnie w pierwszej części, nie ma dostatecznie szybkiego tempa, dynamizmu. W rezultacie w czasie całej tej części widowiska nie śmieję się prawie wcale. To jest chyba jakieś świadectwo, że czegoś w inscenizacji zabrakło?

Sytuacja zmienia się w drugiej części, kiedy na scenie pojawia się ostatni mąż Kornelii – Sylwester, powojenny dygnitarz z awansu społecznego, a następnie wcześniej odsunięty na zasłużoną emeryturę, właśnie z powodu nieodpowiedniego wyboru małżonki. Przedstawienie toczy się od tego momentu znacznie żywiej, złośliwości antagonistów przybierają na ostrość raz po raz zmieniając się układy i aliansy, zawiązywane na użytek chwili.

Niewątpliwie najtrudniejsze zadanie z tej czwórki miała Kornelia. Aleksandra Bonarska w tej roli wy-

więzała się z niego z dużym wyczuciem, ale przecież nie w pełni. Ze wszystkich możliwych cech kobiecości, jakie zdają się charakteryzować Kornelię w dawnych latach, według jej portretów zachowanych w pamięci eksmałżonków, w aktualnej, scenicznej postaci zostało stosunkowo niewiele. Brakło natomiast czegoś dość istotnego: bardziej autentycznej kokieterii, usprawiedliwiającej, a raczej uprawdopodobniającej jej byłe sukcesy i sztukę zniewalania sobie mężczyzn. Jerzy Kownas, jako Grzegorz – były major z Wołkowyska, obecnie pułkownik na emeryturze i konsultant filmowy oraz Edward Apa, jako Teodor – eksdyplomata z pozorami charakteru i ustalonych poglądów wypadli właściwie bez zarzutu. Szkoda tylko może, że Kownas w mundurze pułkownika nie jest dostatecznie usztywniony, nie posiada – jakby powiedzieliśmy – owego specyficznego „sznytu” starego, wyższego oficera, dość skwapliwie natomiast stara się rozluźnić zewnętrznie. W przeciwieństwie do niego E. Apa, w galowym mundurze, przedwojennego piosł, nie przestaje prawie na moment wychodzić z tej skóry, przez co farsowość jego postaci nabiera większej wyrazistości.

Na te tych obu najlepiej jednak wypada Jerzy Wąsowicz w roli Sylwestra, „otrząskanego” byłego działacza, co to może i w przemyśle ciężkim, i w rolnictwie, a jak trzeba, to i w kulturze. Wąsowicz, zwyczajnie ubrany, odbijający od pozostałych, rzeczowym, pozbawionym wszelkich metafor, lakonicznym językiem, stworzył wymowny portret Sylwestra nadając mu charakterystyczny sposób bycia, zwa którego w sam raz przejrzyste widać jego przeszłość.

Jest jeszcze ów Lilek – współczesny żigolak. Ten Lilek, to już nieco przesadna, jakby osobista złośliwość Abramowa do swojej bohaterki. Ma to znaczyć, że Kornelia do końca nie syta jest chęci posiadania przy sobie coraz młodszego mężczyzny, a przez to potwierdzenia się. Wybór jest jednak bardzo żalony, a młody dżolek, jej amant za mieszkanie i utrzymanie – swego rodzaju odwet losu za trójkę byłych mężów – jest w całym towarzystwie najbardziej bezbarwną figurą. Przy najlepszych chęciach nie mógł na to nic poradzić Lech Michalski w roli Lilka.

Lilka można by zresztą darować autorowi. I z nim „Klik-klak” mogłaby być znakomitą komedio-farsą, gdyby nie zakończenie, zapożyczone trochę z Witkacego, trochę z „Tanga” Mrożka. Tyszkowska spróbowała wybrnąć z tej sytuacji „upijając” mężczyzn, poza Lilkiem, w scenie z katarfakiem. Trochę to pomogło.

Na dobro inscenizatorce trzeba również zaliczyć ostatni akcent, jakim jest gitara i niedawny przebieg „Moja miła, ja cię Kocham”. Co po końcowej scenie przypomina nam, że przyszliśmy do teatru, aby się pośmiać.